
To lubię!
Mariusz Kalandyk

Przeczytawszy...

...siadł był i zapłakał. Nie – to nie jest wstawka do pracy nad doskonaleniem stylizacji biblijnej w duchu Eklezjasty. Nie jest to również autorska wylewność na okoliczność stanu ducha własnego w warunkach ordynarnych.

Gorzej – jest to prawdopodobny obraz reakcji wsobnej, więc niekoniecznie uzewnętrzniającej, będącej udziałem polonistów, którzy czytają informacje o stanie (nie) czytania w Polsce i poza nią. Ów stan powoduje stan wcześniejszy i tworzy pętlę zdarzeń groteskowych i wstrząsających. Buduje bowiem samospełniającą się przepowiednię, falsyfikującą się nieustająco fałszywy stan interpretacji procesów nie do końca uświadamianych, skomplikowanych, trudnych do racjonalizacji, a więc wrzucanych w poręczny obszar szkolnych mitów i traum.

Czy chcę przez to powiedzieć, że zjadłem wszystkie rozumy, jajecznicę z siedmiu przepiórczych jaj i przegryzłem to wszystko kajzerką? Więc wiem? Chciałbym bardzo, ale nie mogę.

Rozmowy z polonistkami i biblioterkami na temat tego, jak bar-

dzo się nie czyta, mają jednak coraz częściej charakter rytualny. Było tak sobie, jest źle, a będzie jeszcze gorzej. No i co z tego (?) – kusi, by w ten sposób mimo wszystko odpowiedzieć i zmrozić rozmówców na amen tudzież zaognić stan rzeczy do poziomu zapalenia opon mózgowych.

Powtórzę jednak: No i co z tego? Nie czytają? Trudno. Nie będą czytać? Matko! Serio? Brzmi arogancko? Tak ma brzmieć!

Czytanie otóż jest aktem dobrej woli. Jest także afirmacją. Stawiając wymagania, może, a nawet powinno, otwierać na to wszystko, co jest entuzjazmem, zaangażowaniem, dobrą wolą, zalem, że już się kończy a widowców na kontynuację ni hu hu. Zanim przejdziemy na poziom intelektualizacji (konieczny przecież – na tym polega kształcenie), instytucjonalnie pragniemy zmusić do czytania, przestraszyć, wymyślić skuteczną szykanę, dać w kość. Wiem, wiem, szkoła musi być poniekąd instytucją opresyjną, socjalizuje przecież, dyscyplinuje, wprowadza w różnorakie reżimy, by później było lżej, nie bolało w doroślejszym życiu, czyniło jednostkę użyteczną.

Nagroda będzie konsumpcjonistyczny raj, niebo obżarstwa. Niekoniecznie mentalnego.

W tym widzimy sens, takiej aksjologii bronimy, ową logikę głęboko – poloniści również! – zinterioryzowaliśmy. A młodzi? Znamy ich świat(y)? Zależy nam, by je poznać? Tworzymy płaszczyzny uzgadniania czytelniczych miłości oraz kompetencji? Doceniamy naiwność (czytaj: świeżość) uczniowskich opinii oraz zapatrywań?

Szczerze wątpię.

Moje wątplenie pogłębia również sposób patrzenia na literaturę w dokumentach sterujących jej uczeniem. Doceniając ich ambitne cele kształcące – literatura ma być obiektem intelektualnej refleksji oraz treningu, a historia literatury źródłem budowania tożsamości i kulturowych kompetencji – pamiętając o idei „fuzji horyzontów”, nie mogę nie pamiętać o odbiorcy owych frykasów. Czy nie pęknie z przeżarcia lub nie dostanie kulturowo-mentalnej niestrawności na skutek nieznamości przez organizm skutków bulimicznej nadaktywności systemu?

Arogancja nie służy nikomu. Po prawdzie, to nie chcę być arogancki. Pytanie tylko, czy niebycie arogantem to tylko mój lęk, moja obawa? Mój jedynie problem? Arogancja jednostki jest deficytem charakteru. Czym natomiast jest arogancja systemu? W jaki sposób się objawia? Jakie

wywołuje skutki? W jakich obszarach szkodzi? Po wielu latach obserwacji wspomnianego organizacyjno-prawnego konglomeratu, w końcu jestem też poniekąd jego wytworem (i ofiarą), wiem, jak bardzo groźne jest to schorzenie. Jak bardzo szkodzi nam wszystkim. Świetnie zamaskowana, ubiera się w piórka autorytetu, pseudobadań przesiewowych, rozlicznych konsultacji, profesorskich kompetencji z zupełnie innych obszarów merytoryki stosowanej itd. Dotyczy to również problemu „Przeczytawszy...”. Bo przecież będąc w wieku słusznym, spędziwszy lata w systemie, ucząc pokolenia młodych – wiemy najlepiej. Będąc dodatkowo namaszczeni przez towarzyszy partyjnych, wspomagani przez podobnie myślących, możemy wzmacniać własne poczucie nieomyślności i misji w zakresie lektur niezbędnych do, kształcących wartości kluczowe i rdzenne. Drobiazgowo dobierając tytuły i właściwych autorów, nieskażonych miazmatami oraz niemnożących wątpliwości miast dogmatów i pewników.

A czytanie? Jego autentyczne wspomaganie i wzmacnianie jako zjawiska z pogranicza kultury, psychologii, socjologii oraz setki innych obszarów? Staje się elementem doraźnych akcji, propagandowego i reklamowego sznytu, medialnego promowania się VIP-ów. A przecież, dobrze to wiemy, czyta się i dla siebie, i dla szkoły. Ostat-

nio coraz rzadziej „dla siebie” zachodzi na „dla instytucji”. Częściej stanowią one zbiory odrębne, niechętne sobie, ba – wrogie. Gdy spotykamy się i rozmawiamy na ten temat w gronie osób zainteresowanych, dziwimy się własnym pomysłem, czasami ich obiektywnej wartości, a nawet błyskotliwości. Przygnębia – ich pogłębiająca się z roku na rok nieskuteczność.

Czytanie trzeba ratować. Nie dla szkoły, bo to nic nie znaczy. Nawet wtedy, gdy z dumą pokazemy, iż nowi maturzyści, choć w liczbie znacząco mniejszej, znają więcej tekstów i radzą sobie z ich podstawowym zakresem interpretacji. Nie dla matury

interioryzuje się wartości estetyczne i poznawcze; nie dla sukcesu egzaminacyjnego poświęca noce na bycie czytelnikiem. Obawiam się, że ćwicząc zimną analityczną umiejętność rozumienia tekstu, który jest dziełem sztuki, nie dajemy szansy na bycie – od czasu do czasu chociaż – „drogim naiwnym czytelnikiem” z „Zapisków starego prokuratora”.

To nie jest głupota. Gorzej – to niewybaczalny błąd!

Sam zresztą nie wiem.

Skazony pewnie jestem.

Mariusz Kalandyk